



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr 20.

Z teki M. Romanowskiego.

I ZBOLAŁEJ.

Straszny przed tobą kielich! Co dnia go wychylasz,
Co dnia rzucasz go z ręki wypity aż do dna,
I sama go trucizną po brzegi zasilasz,
I porywasz go w dłonie, tej trucizny głodna—
I pijesz, żywiąc w piersi szaloną nadzieję,
Że serce się rozpeknie, albo skamienieje.

Toż nazwałbym cię dzieckiem, co w swe drobne
[dłonie,
Pragnie wyczerpać przestwór bezgraniczny morza:
Czerpie, a tu się bezdnem urągają tonie,
Jak z potęgi człowieka uraga moc Boża.
O! daremnie: komu Bóg ducha tak zapali,
Ni lodem go ochłodzi, ni zgasi w łez fali.

Gdybym mógł, to na ciebie rzuciłbym kwiat owy,
Który dzieciom w kołyskę kładą matki wiejskie...
I usypia wnet dziecię i śni sen różowy,
I przez główkę mu płyną dziwa czarodziejskie,
I harmonia aniołów duszę mu zalewa...
I tu nad kołyseczką matka *luli* śpiewa.

Lecz kwiat taki na ziemi tylko dzieciom rośnie!
Stań się więc beznamietną, choć ból szarpie ducha,
I nie przeklinaj serca, gdy jęczy żałośnie,
I wiedz, że duch twój z Boga i że Bóg go słucha;—
Że biały stróż twój anioł koło ciebie stoi,
I—że ciebie Bóg kiedyś w dwa skrzydła ustroi.

POGA WĘDKA.

Smutny dzień mamy przed sobą, dzień zaduszny, a jakoś się tak składa, że corok przychodzi nam o tej porze rozpoczynać Pogawędkę reflexyą żalobną na temat grobów i cmentarzy.

Dla jednych temat to przykry, dla drugich obojętny; komu życie same kwiaty sypało, dźwięczało piosnkami wesela i uśmiechów nie gasiło łzami, dla tego myśl o śmierci, wspomnienie grobu jest przykrem, jak zgrzyt żelaza po szkle, jest ciemną chmurą na pogodnym niebie, strasznym widmem w północnej godzinie; ale dla tych, co dźwigali same krzyże na Golgotę życia, co Tantalowych pragnień ugasić, Syzyfowej pracy dokończyć, Ikarowych lotów utrwalić nie mogli, — co bosą nogą po cierniach iść musieli od kolebki i w powszednim chlebie piołun i oście znajdowali, dla tych śmierć wydaje się aniołem wybawienia, snem pokrzepienia, cichą kołysanką u kolebki, w której duch ludzki, jak sflakane niemowlę, usypia...

Smętny urok i poezją ma dla takich święto umarłych: idą na cmentarz z wieńcami i światłem usiąść na grobach i marzyć o tem życiu przyszelem, tajemniczem, zaświatowem, w którym nie nie dolega, nie boli, nie uciska i wstają pokrzepieni potem, z tą cichą jakąś rezygnacją strudzonych wędrowców, co idą w ciemną noc po stromych ścieżkach i powtarzają sobie dla otuchy: „Już nie daleko, a potem odpoczynek... odpoczynek wieczny!”

Ci—najbiedniejsi i nad ich pochyloną głową przechodzień mógłby krzyż zrobić, pozdrawiając tych żywych życzeniem dla umarłych: „Odpocznijcie w pokoju!”..

Stając nad grobami, módlmy się więc i za żywych.

Zaduszki w Warszawie wywabiają całe niemal miasto na mogiłki cmentarne, ale od kilku lat coraz głośniejsze wznawiają się skargi na zestrąnianie powagi święta nieboszczyków; nie z pietyzmu, nie z potrzeby serca zlekionego, nie przez obowiązek wdzięcznej pamięci wybiera się gawiedź, jak stado krzykliwych wron i kawek na groby.

Cmentarz, jak kościół—ma swoją świętość i powagę, której naruszać nie godzi się, nie wolno. Przekupniów Chrystus wypędzał z świątyni; gawiedź z cmentarza należałoby wypędzać.

Kto nie ma, czy nie czuje, potrzeby odwiedzać umarłych w dniu zadusznym, niech sobie *sportu*, przyjemności, rozrywki z tego nie robi; z cynicznym śmiechem, z wesołym humorem, z dowcipem na ustach, przez prostą a niską ciekawość nie idzie się między smutne mogiły. Jest dosyć miejsca poza niemi dla pustych dusz i wiatrem wydętych serc ludzkich, gdzie brzęk ich nie razi i nie zmaci ciszy i pokoju uświęconego powagą śmierci i ideą zagrobowego żywota.

Karcie surowo należy też wybryki głupców lekkogłowych, którzy w tym dniu mniej jeszcze myśli mają w mózgownicach, niż kiedykolwiek i wciskają się, jak intruzy, spadają jak krzykliwe i swawolne wróble na „Bożą rolę”.

Widzieliśmy to w roku zeszłym i utyskiwali wraz z innymi; uprzedzamy też w bieżącym w nadziei, że może słowo reflexyi cośkolwiek pomoże.

Życie składa się z kontrastów, — felieton nasz, jako zwierciadło życia publicznego, musi mieć jego cechę: więc nie dziwnego, że z cichego cmentarza przejdziemy na gwarne i ruchliwy rynek naszych spraw bieżących.

Warszawa ożywia się powoli i zaczyna swój sezon zimowy skromniej i apatyczniej, niż innych

lat. Dotychczas mamy tylko same zapowiedzi zwykłego programmatu przyjemnych lub pożytecznych zabaw i rozrywek; mówi się dotąd o Dobroczynnym Bazarze, o całej kollekcji odczytów na Osady rolne, na Czytelnie Bezpłatne, na wydanie *Pamiętnika Fizyograficznego*, o zamierzonych pogadankach w klubie Towarzystwa Wioślarskiego, o obiecanej wizycie głośnej paryzkiej wodewilistki p. Judic na scenie Teatru Wielkiego, o spodziewanych koncertach etc. etc.

Jeden z główniejszych czynników ruchu i estetycznych zajęć Warszawy: teatr, w roku bieżącym z konieczności usunąć się musiał na drugi plan. „Rozmaitość“ powoli dźwiga się z gruzów i popiołów swoich, a pomimo wszelkich starań i zachodów przed Nowym Rokiem zapewne nie otworzy swoich podwoi dla stęsknionej za nią publiczności warszawskiej.

Tymczasem sklecono prowizoryczny teatrzyk w Salach redutowych, które przed pięćdziesięciu laty były już raz świątynką Melpomeny. Lżejszy repertuar będzie tu ściągał miłośników sceny, urządzona na estradzie, którą uswietnia sobą Żółkowski, Królikowski i zmniejszający się procent prawdziwych talentów dramatycznych naszego teatru.

Na wielkiej scenie dramat i opera dzielą się miejscem i względami publiczności.

Tradycja włoskiego balastu zmniejsza się na szczęście w operze naszej ze względów ekonomicznych; zamiast całej kosztownej trupy z impresariem zagranicznym na czele, mamy w tym roku tylko jedną parę zaangażowanych artystów obcych, p. Varesi, primadonnę i p. Defalco, tenora.

Ten ostatni nie należy wcale do gwiazd artystycznego horyzontu; gdyby nie był Włochem, sądzonoby go daleko surowiej i słuchano chyba z łaski, ale jako rodak Masinich i Cottognich ma u naszej Dyrekcyi i publiczności pewien urok i przywilej.

Co innego p. Varesi; śpiewaczka to wytrawna, w partyach koloraturowych wyborna, obdarzona przesłiznym, dźwięcznym organem głosu, w którym jest coś słowiczego naprawdę. Śpiewa z dziwnym wdziękiem, czystością i słodyczą, i ma w głosie to coś, co jest poezją i rozmarza, jak skrzypce Sarrasatego. Do namiętnych wybuchów i dramatycznej grozy brak jej odpowiedniej siły, ale w lirycznych partyach jakiś dziewiczy urok owiewa jej śpiew i czyni go dziwnie sympatycznym.

W dramacie o ożywionym ruchu i odnowieniu repertoaru nie słyhać; wszystko to dopiero z otwarcie „Rozmaitości“ ma nastąpić. Tymczasem przepowiada się stare jednoaktówki i powtórza komedye, najczęściej źle obsadzone, aby wykazać chyba, jakie szczyry i luki porobił czas lub niezręczna ręka w świetnym niegdyś personelu warszawskiego teatru. Brak Derynżanki, Popiel-Swięckiej, Leszczyńskiego, Szymanowskiego zdezorganizował prawie cały komplet sił wyborowych.

O dobranym komplecie też przestało się prawie mówić w teatrze warszawskim.

Stare, doświadczone siły utrzymują jeszcze dawną tradycję i sławę mocno nadwężoną pierwszorzędną sceny polskiej.

Z najpoważniejszych weteranów sztuki po Żółkowskim najstarszy pracownik i filar naszego teatru, Jan Królikowski obchodzi w tym roku jubileusz czterdziestopięcioletniej służby w szeregach Melpomeny. Zawsze stał dzielnie i wytrwale na czele, jako człówek i artysta był nieskazitelny i należał do prawdziwych kapłanów sztuki, natchnionych miłością dla niej i czcią dla jej ideału.

Dzisiaj, gdy strudzonemu należałoby się wypoczynek — wypoczynek na zasłużonych i prawdziwych, nie sztucznych laurach, względ na stan ukochanej sceny nie pozwala mu cofnąć się i zamknąć w zaciszu domowym i w kole rodzinnym, które dla niego jest całym światem.

Pracuje zatem dalej i nie ustaje, jakby przeczuwał, że jest, nadługo może, ostatnim tragikiem polskim, z którym młodsze pokolenie równać się nawet nie śmie.

Wielbiciele talentu i zasług Królikowskiego postanowili obchodzić uroczystie jego jubileusz na tejsamej scenie, na której wytrwale prawie pół wieku pracy, a całe życie niemal, spędził. W Grudniu ma się odbyć przedstawienie z udziałem jubilatą, które dyrekcya zgodziła się odsprzedać urządzającym za zwykłą cenę najwyższego dochodu. Przewyżka z nadatków ma być użyta na kupienie stosownego upominku dla znakomitego przedstawiciela Franciszka Moora, Mauprata, Soloduchy, Rodina, Monjoye'a i tylu innych świetnych kreacyj dramatycznych.

Zeszłej Soboty obchodziła też jubileusz ówierówieca scenicznej pracy swojej p. Alexandra Rakiewiczowa, jedna z nielicznych już przedstawicielek poważnego repertoaru w teatrze warszawskim, artystka z krwi i kości, wychowana i kształcona w atmosferze miłości i poszanowania sztuki. Rakiewiczowa należy do artystycznej rodziny Ładnowskich, która pół wieku przeszło tradycyą ma na polskich scenach. Z natury i usposobienia przeznaczona do ról wielkich, o szerokim, bohaterkim zakroju, obdarzona wyjątkowymi warunkami i talentem niepospolitym, musiała w rozwoju swym hamować się i zniżać do rodzaju ról, przez zmienny repertuar jej narzucanych.

Mało znalazła sposobności zużytkowania szerokiego swego materiału na artystkę w tragicznym rodzaju i poprzestać musiała na tym poziomie, na którym cała scena w ostatnich czasach stała.

W dniu jubileuszu kolledzy i kolledzanki (nie wszystkie, naturalnie) złożyli jej w dowód uznania wieniec srebrny, który przyjęła z tem zastrzeżeniem, że nie „zasłużona“ ale „szczęśliwa“ bierze owe laury, lecz jeżeli nie położyła dla sceny tych zasług, jakie mogła, to nie poczuwa się do winy, bo na szczerej chęci jej nie brakło.

Smutnym wyrzutem dla sceny jest taka obrona zmarnowanego talentu.

Na praktyczniejszem polu naszego społecznego życia, nie wiele mamy dodatnich objawów do zadowolenia.

Zbiory tegoroczne zasmuciły serca i zawiodły kieszenie naszych rolników.

Z niebem i ziemią niema processów.

Przekonamy się w roku przyszłym, jaki jest stan naszych gospodarstw, jeżeli projektowana wystawa rolniczo-przemysłowa na Placu Ujazdowskim, zamiast zwykłej wystawy koni i inwentarza szczęśliwie do skutku doprowadzona będzie. Myśl to praktyczna i ma w sobie zarodki powodzenia i pożytku. Doświadczenia pierwszej takiej wystawy w Warszawie przed kilku laty powinny oddziaływać zachęcająco na projektodawców i wzmożnić ich osobistą energią.

Echa prowincjonalne przyniosły nam wiadomość o dwóch wystawach, w Łodzi i Sieradzu, uwieńczonych nadspodziewanie pomyslnym skutkiem. Wystawa łódzka reprezentowała terazniejszość, sieradzka przeszłość — na jednej popisywał się przemysł, na drugiej archeologia.

Ci, którzy mieli sposobność zwiedzać wystawę fabryczną w Łodzi, dość podziwiać i nachwalić się nie mogli postępu, jaki wykazuje gałąź przemysłu tkackiego i sukienniczego. Polski Manchester najzupełniej zasługuje dziś na taką nazwę; wyroby jego fabryk śmiało mogą konkurwać z zagranicznymi i pod obcą firmą uchodzą też w pewnych magazynach za francuzkie, lub angielskie produkta.

Słusznie odezwały się głosy, aby krajowym wyrobom zapewnić przynależną im opinią i pierwszeństwo jawne przed zagranicznymi, co mogłoby się uskutečnić przez zakładanie osobnych składów ważniejszych fabryk łódzkich w Warszawie na wzór żyrardowskich.

Wystawa starożytności w Sieradzu, urządzona staraniem miejscowego lekarza dr. Stanisławskiego, dowiodła znów, jak korzystnie oddziaływać można na prowincyi małemi czynnikami na rozbudzenie żywszego ruchu i ile prawdziwych skarbów z przeszłości przechowuje się u nas w zacisznym i głuchem ukryciu.

Wspominano tylekroć prywatnie i publicznie w prasie o potrzebie założenia u nas towarzystwa starożytników, któreby zarazem przyjęło na

siebie obowiązek opieki i ochrania zabytków minionych czasów w dziedzinie sztuki, ale serca trafiały do uszu i serca, tylko nie do energii i inicjatywy najbardziej interessowanych.

Zdawało się, że urządzenie stałej wystawy archeologicznej w Warszawie wznowi kwestyą zaniedbywaną od dawna i zogniskuje uwagę i dobre chęci tych, którzy z zamiłowaniem, czy dla pożytku nauki zajmują się u nas starożytnościami; ale jakoś oczekiwania zawiodły i nad spuścizną przeszłości materyalną czuwa... dobry Bóg w niebiesiach.

Może praca i zasługa Dr. Stanisławskiego w Sieradzu będzie lepszym posiewem i wywoła sprawę towarzystwa archeologicznego znów na porządek dzienny.

Na szczęście ważnych tematów w kronikarskiej tece niewiele już pozostało; najważniejszą kwestyą obecnie w Warszawie jest sprawa elektrycznego oświetlenia miasta przez kompanię angielskich przedsiębiorców, które o 25% taniej od kosztów gazowego oświetlenia, chce rozprasać egipskie ciemności naszego grodu. Ugoda z Towarzystwem Dessauskiem przewiduje na szczęście taką konkurencyą i rozwiązuje naszej municypalności ręce na wypadek propozycyji tańszego oświetlenia miasta, o czwartą część dzisiejszej ceny.

Możemy tedy mieć wszelką nadzieję, że Warszawa — pierwsza w Europie zabyłnie... światłem elektrycznym i że o gazowe latarnie przestaniemy sobie rozbijać nosy, podczas pochurnych i bezksiężycowych noczy.

Na świeczniku naszej prassy przybyły również dwa nowe światelka w postaci „Echa Teatralnego i Muzycznego“ pod redakcyą pp. Kleczyńskiego Jana i Bronisława Zawadzkiego, jako też „Tygodnika Kucharskiego“.

Echo jest odrodzonym Fenixem tylko o jednej parze skrzydeł więcej; rozszerzyło swój programat, przybrało całą litanią współpracowników co najlepszych, ozdobiło się ilustracyami i zapowiada z pierwszych numerów organ krytyczno-estetyczny zajmujący i sympatyczny. Ruchliwa redakcyą części literackiej i muzycznej, świadczy o staranności i gorliwości kierowników i wydawców Echa.

Tygodnik Kucharski należy do pism specjalnych i ma kulinarne cele przed sobą; ale wiadomo, po jakich grudach nasze specjalne wydawnictwa łytkają musz. Mogłaby o tem powiedzieć wiele ciekawego redakcyą *Inżynierji i Budownictwa*, która na Dodatek dla ślusarzy, wybornie prowadzony, ma wszystkiego *summa summarum* 37-miu prenumeratorów pomiędzy ślusarzami, reszta rozchodzi się pośród nie specjalistów.

Jeżeli Tygodnik kucharski liczyć będzie na poparcie jedynie swoich czytelników przy białym fartuchu—to... wesołej przyszłości przepowiadać mu chyba nie można.

Smutną znowu wzmianką, zakończyć musimy dzisiejszą Pogawędkę: wzmianką o śmierci s. p. Henryka Schmitta, znanego historyka i publicysty, zmarłego w swoim rodzinnym mieście Lwowie, d. 16 z. m. Nieboszczyk należał do nielicznego rzędu naszych dziejopisarzy z epoki Szajnochy i Bielowskiego, odznaczał się wielką erudycyą, źródłowo zbieraną, znajomością szeroką naszej przeszłości, duchem demokratycznym, ale też i—krańcowością niektórych poglądów. W ostatnich latach głównie, jako członek Rady szkolnej krajowej w Galicyi, zajmował się szkolnictwem.

Pogrzeb odbył się we Lwowie z wielką wystawnością a zawiązany komitet zajęć się ma wzniesieniem pomnika nieboszczykowi, na który pracą swoją i nauką zasłużył.

Pokój strudzonemu pracownikowi!

Wrażenia pedagoga w Galicyi.

XVII-te WALNE ZGROMADZENIE TOWARZYSTWA
PEDAGOGICZNEGO W STRYJU.

(Dokończenie)

Do dopełnienia całości zjazdu należy obiad pożegnalny, dany, jak zwykle bywa, przez miasto dla gości—pedagogów; bankiety te, dawniej wyszukane, od lat kilku przybrały jednostajnie powtarzającą się formę bulionu, zimnego mięsiva, piwa, wina i tortu; główną ich okrasą jest ujmująca grzeczność gospodarzy, czynnie pokrywających niezdarność i niezareadność prowincjonalnych kelnerów, kompletowanych nierazko municypalnemi pacholkami; tudzież mowy toastowe, świadczące o dobrem wyrobieniu Galicyan w tym kierunku. Obiad stryjski odbył się pod werendą dworca kolejowego wzdłuż peronu, osobliwością była lokomotywa, przechodząca, kilkakrotnie w jedną i drugą stronę, na której umieszczony moździerz dawał wystrzały w czasie toastów. Tych ostatnich było kilkanaście, wznosili je bowiem wszyscy lepsi mówcy; po toastach urzędowych i konwencyonalnych nastąpiły inne, skierowane ku stosunkom wewnętrznym nauczycielstwa, ku gościnnym mieszkańcom Stryja; przemawiał dwa razy prezes Sawczyński, przemawiali: Dr Lewicki (b. sekretarz zarządu towarzystwa, obecnie powołany do wszecznicy Jagiellońskiej, na katedrę historii Austrii, po Smolce), Chyliński, Zgórski, Maciołowski (na cześć komitetu gospodarczego), Baranowski (na cześć nauczycielstwa ludowego), Solecki (pił strzeżniennego). Orkiestra, złożona z kilku miejscowych rzemieślników, a tresowana przez typowego, o charakterystycznym zacięciu muzycznym, Niemca, grała ulubione i narodowe melodye. Biesiadnicy mieli prawdziwą ucztę, przy której słowo szerokim korytem płynęło, poruszając wiele strun w sercach ludzi jednego zawodu, jednych warunków politycznych. Zapano wało ogólne ożywienie, przeszło nawet w nadmiar, gdy parę nauczycielek ludowych, po skończonym obiedzie, w drodze nadprogrammatowego dodatku, próbowało tańczyć kołomyjkę. Z okoliczności tańca wspomnieć tu muszę o festynie, przygotowanym w pierwszym dniu obrad, dla pedagogów w Olszynie; loterya fantowa bardzo mała, a przygotowana iluminacyja żadnego nie miała zastosowania, skutkiem nieustannego deszczu, który się pod wieczór rozpadał. Część gości, przybyłych przed deszczem, wtoczyła się do szczupłej sali pawilonu, gdzie w deszczowych kostymach i w kapeluszach zaimprowizowała tańce, niezbyt estetyczne (jak łatwo się domysleć) czyniące wrażenie; zresztą mała tylko cząstka osób, nazbyt żadnych przez rodzaju zabawy, mogła w tem przyjąć udział. Programmatem zjazdu objęta wycieczka w góry Stryjsko-Skolskie, już to skutkiem niepewnej pogody, już to skutkiem kosztu (który wistocie rzeczy nie był zbyt wielki, dla nauczyciela jednak ludowego, mającego wydać kilkanaście guldenów w paru dniach, znaczący), nie przyciągnęła wielu uczestników. W liczbie szesnastu osób połowa za ledwie była nauczycieli, i to średnich zakładów, nie zaś ludowych, którzyby przede wszystkim powinni z udogodnień i ułatwień Towarzystwa Tatrzańskiego skorzystać. Poważamy się przypuszczać, że możeby nie było od rzeczy obmyślenie jakiegoś funduszu, przy pomocy którego niezamożni nauczyciele ludowi (a któryż z nich jest zamożny?) w najdalszych okolicach kraju zamieszkali, mogliby łatwiej do wycieczek należeć. Wycieczka tegoroczna trwała przez dni cztery; doznaliśmy pięknych wrażeń w okolicach Skolego i bardzo nieprzyjemnych w samem Skolem, mieścinie brudnej, przez brudnych żydów zamieszkałej, której nawet „Hotel pod trzymi (sic!) koronami“ uratować nie może. Zwiedziliśmy brzegi rzeki Stryja, gdyż właśnie ciągle wzdłuż tej rzeki jechaliśmy przez Duliby, Hurnie do Synowucka, następnie przez Tyszowni-

cę i Turchanów do Bubniszcza, aby zobaczyć sławne „boidy“, zwane przez ludność miejscową prosto „kamienie“. Są to komory, powykuwane w wielkich skałach, były one, i są poniekąd podziśdzien, łamigłówką uczonych; zdaje się nie podlegać wątpliwości, że są to świątynie pogańskie, które w następstwie czasu służyły za schronienie w czasie wojen! Kamienie takie znajdują się w Bubniszczu, Rozburcu i Uryczu. Widok niezmiernych skał w Bubniszczu i tajemniczych komór, wykutych z planem, z wielką starannością i dokładnością pod sznur i węgielnicę, zachowanych bardzo dobrze—niezwykle sprawa wrażenie, które tutaj opisać się nie da. Ludność miejscowa, złożona z Bojków, wyglądających jakby jeszcze nie dostali się pod opiekę cywilizacji, nie posiada żadnej prawie tradycyi co do tych uroczysk. Towarzystwo nasze, zabawiwszy parę godzin u podnóża „kamienia“, powróciło ku rzece Stryj, a dalej jadąc z przeskodami przez Synowudko Wyższe, Demnie dolną, przybyło późnym wieczorem do Skolego, za którym zaraz leży Demnie Górne nad rzeką Opierem, gdzie znaleźliśmy w miejscowym Hotelu czy Resursie niemieckiej względnie wygodne pomieszczenie. Mieści się tutaj administracja obszernych dóbr hr. Kińskiego, spławy i składy drzewa, przy których jest wielu officialistów, nadając Demni bardzo miły pozór siedziby, do której cywilizacja europejska zawitała. Miejscowość przytem jest rozkoszna, a droga ztąd do Kozioły, wąwozem pomiędzy zacieśniającymi się wciąż górmi, przedstawia wiecie cudnych widoków, przypominając mimowoli podróż Danajcem w Pieninach. Turyści nasi odbyli forsowną pieszą drogę na szczyt najwyższej (4.000 stóp) w tych stronach góry Paraszki, z kąd zeszli na wieczór do Kruszelnicy, aby dostać smutnej pamięci nocleg na barłogu w starej ruderze niezamiecionej nawet; jeżeli w tych rozwalinach „straszy“ teraz, to nie kto inny, tylko Nemezis ludzkości, niepokojąca sumienie pani rządczyni Niemki, która turystów wzięła za Tatarów lub rozbójników. Z radością powitaliśmy wschodzące słońce, aby copędzej wyruszyć w drogę i otrząsnąć się z przykrego wrażenia; gdy jednak przy śniadaniu nastąpiła narada nad zmienieniem planu wycieczki, straciliśmy dużo drogiego czasu i dopiero koło południa wyruszone do Urycza, gdzie przy „kamieniu“ miał miejsce bardzo przyjemny odpoczynek. Dalsza podróż pod wieczór drogą nieznaną, której nawet prowadzący wyprawę, Dr Popiel nie przebywał, dostarczyła wrażeń w swoim rodzaju. Tylko w Galicyi podobne okoliczności złożyć się mogą: nie wiedziałem fatalniejszej drogi niż ze Schodnicy do Mroźnicy i właśnie potrzeba było tak prowadzić wyprawę, tak czas tracić, żeby na ciemną noc droga ta wypadła: jest to spadek gwałtowny jak w piekło po drodze pełnej gór, błota i wybojów, do czego ziemia tłusta, przesycona naftą się przyczynia; potrzeba było całą drogę przebywać piechotą, noga za nogą, wywłóczając się z niektórych dołów na czworakach, okupując obawą złamanie nogi każdą piędź ziemi. Późną już nocą, wśród słoty przejechaliśmy przez Borysław (kopalnie nafty), przybywając do Truskawca na godzinę 2-gą, spóźniając się na zapowiedziane ostentacye, gdzie znaleźliśmy w hotelu kąpielowym wygodne pomieszczenie, naprzód przygotowane, ale o głodzie musieliśmy się udać na spoczynek. Truskawca, miejsca kąpielowego, nie mogliśmy zwiedzić dnia następnego, skutkiem niemiłosiernej ulewy, która jednak nie przeszkodziła nam copędzej dostać się do kolei żelaznej na stacyi w Drohobyczu.

Zjazd pedagogiczny w Stryju upamiętni się tem, że przyspieszył pierwszą kolonią wakacyjną młodzieży. Największa zasługa należy się tutaj profesorowi Dr Gerstmanowi, który, zbadawszy kwestyą kolonii, występował z nią po kilkakroć i potrafił wywołać dla sprawy materialne poparcie. Pierwsi wystąpili z niem: hr. Artur Gołuchowski i Ignacy Żółtowski; zgromadzenie na zjeździe żywo przyjęło wystąpienie p. Gerstmana i zobowiązało Zarząd do zajęcia się urządzeniem kolonii. Byliśmy świadkami, jak na radzie miejskiej we Lwowie, p. Gerstman, jako radny, wniósł tę sprawę, żądając poparcia ze strony kassy miejskiej; wniosek przyjęto jednogłośnie, wyznaczając na

ten cel, mimo wyczerpanych funduszy miejskich, 300 zlr. Lwów starał się przewyższyć Warszawę w uczynności na rzecz kolonii wakacyjnych. Niezwłocznie też Zarząd Towarzystwa zawiązał radnych miasta Lwowa i kierowników szkół ludowych, wybrał 26 chłopców wątłego zdrowia, niezamożnych rodziców, dał im kostium gimnastyczny, tornistry, czapki, chorągiewki — nauczyciela gimnastyki. Dr Longchamps zbadał szczegółowo każdego, oznaczył jego siły, stan zdrowia, przeznaczył odpowiednie środki lecznicze i dyetetyczne. Wyjazdem dzieci zainteresowali się wszyscy, pospieszono z darami, z bezinteresownemi usługami; publiczność tłumnie zalegała Plac Cłowy, na którym młodzież i komitet, ją wyprawiający, wsiadali z ostentacją do dwóch, umyślnie na ten cel wyznaczonych i odpowiednio udekorowanych, powozów tramwajowych; tłumnie przyglądano się, jak ta młodzież zajażdżała obiad na kolei. Pan Gerstman prowadził wyprawę do Kołomyi, a następnie przez Losów do Żabiego, gdzie chłopcy znaleźli gościnne pomieszczenie w gospodzie oddziału Czarnohorskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, położonej w uroczym miejscu, podmywanej bystremitami Czeremoszu. Kolonia po trzytygodniowym pobycie w górach powróciła do Lwowa. W czasie jej podróży w jedną i drugą stronę występowano z posiłkami, obiadami, darami, ostentacyami; gospodarze osobiście usługiwali malcom. Każda rzecz ma dwie strony: dzieje tej kolonii są piękne a nawet rozrzewniające, zachodzi atoli pytanie: czy te dzieci biednych rodziców, przeznaczone do skromnej, a cichej pracy w swoim otoczeniu, nie straciły na zdrowiu moralnym tyle, ile zyskały na fizycznym, czy ostentacye te nie oddziały ujemnie na niektóre wrażliwe umysły i czy nie zostawiły śladów niezatartych na całe życie, kierując je ku powierzchowności, przesadzie, dekoracyi? Nie przesądzać rzeczy, oddajemy sprawiedliwość tym wszystkim, którzy bezpośrednio lub pośrednio wpłynęli na tak prędkie wykonanie projektu; ostentacye zaś są rzeczą formy i w następnych latach łatwo do właściwych granic sprowadzone być mogą.

Kończąc sprawozdanie, nie możemy przemilczeć głosu, który nam ciągle w duszy dźwięczy. Oto jeden z nauczycieli ludowych, z okoliczności kolonii wakacyjnych dla dzieci, odzywa się w „Szkole“ lwowskiej: czyby też dla spracowanych, steranych zawodem a ubogich nauczycieli, nie był pożądany i zbawienny pobyt w górach na świeżem powietrzu, czego o własnych siłach skutecznie niemożąc, pchają dalej swoją taczkę, upadając na siłach i na duchu, gorzkniąc w ciężkim a niewdzięcznym zawodzie.

Towarzystwo Pedagogiczne ma niezaprzeczoną zasługę w reprezentowaniu szkoły ludowej wobec władz, wobec sejmu i tłómaczenia jej potrzeb. Reforma szkoły, którą silnie popierał s. p. Szujski, którą wziął żywo do serca marszałek Zybkiewicz, zdaje się być na ostatnim sejmie zdecydowana, być może nie w duchu teoretycznym ale praktycznym. Przedewszystkiem wciągu lat 10 mają się założyć szkoły, których dotąd w 2.500 gminach braknie. Nie wpłynie to może narazie na podniesienie stanu nauczycielskiego, nie rozszerzy, ścieśni nawet program szkolny; ale za to powiększy niesłychanie liczbę szkół początkowych — rozniesie zarody oświaty pod wszystkie strzechy.

N.

POLKA I AMERYKANKA

POWIEŚĆ

przez

Sewera,

(Dalszy ciąg).

Wyszła, prowadząc za sobą siwiejącego Marsa. Ciężko jej może pierwszy raz w życiu sam na

sam. Obawiała się stanowczej chwili: dlatego postanowiła nie dopuszczać do katastrofy oświadczenia, a jednak postępowaniem swoim dotyla zniechęcił pięćdziesięcioletniego adonisa, aby nie miał więcej ochoty odwiedzać ją i, aby tym sposobem dotrzymać danego słowa Balci i panu Edwardowi.

Skorzystał z tego Władysław. Dla niego były serdeczne uśmiechy, spojrzenia, do niego zwrócone zapytania, z nim utrzymywana wyłącznie rozmowa.

Porucznik marszczył czoło i nozdrza rozszerzał, lecz milczał. Czuł, że i jemu wypadało mówić, a jednak nie miał sposobności zabrać głosu.

Młoda dziewczyna nie zwracała na niego uwagi, nie widziała go, — nie istniał dla niej. Bawiła się wybornie i równocześnie zdawało się jej, że się uwalnia od stanowczej rozprawy.

Złitował się nad zachmurzonym Marssem p. Ludwik, zabawiał go, jak mógł, i prowadził rozmowę, chociaż mu się to nie udawało. Mars był ponury, zbywał go utartymi frazesami lub pojedynczymi wyrazami.

Zaczęli mówić o kobietach. Porucznik miał się za znawcę: ożywił się więc, opowiadał głośno i stanowczo. I gdy p. Ludwik, jako romantyk, zaczął rozprawiać o ich niestałości, zmienności uczuć i kapryśkach—przerwał mu ulubionym frazesem:

— *Ah! Das hängt alles von der Tressur ab*—i rozśmiał się głośno.

— Co to znaczy?—spytała się żywo Amerykanka Władysława.

— Że charakter kobiety zawisł od rodzaju tresury.

Krew wystąpiła rumieńcami na jej twarz, oczy zaświeciły ogniem, ręka zadrżała; przyspieszony oddech zdradzał wewnętrzne wzburzenie. Za chwilę jednak zapanowała nad sobą i, siląc się na uśmiech, odpowiedziała:

— Jakie to dziwne powstają sprzeczności! Mówiono mi, że Polacy wytwornosć względem kobiet posuwają aż do bałwochwaltwa. Z tego, co powiadał porucznik, sądzić można....

— Przepraszam panią—przerwał Władysław—porucznik nie jest Polakiem.

— Więc czemu jest?

— Jest on człowiekiem armii, gdzie koń przedstawia wartość dwóch ludzi, wytresowany zaś, co najmniej, czterech.

— Tym sposobem porucznik zrobił nam zaszczyt....

— Najniezawodniej—jako wielki wielbiciel i znawca płci pięknej....

— Posiadający rozmaite sposoby tresowania jej. Gdybym była dziś odpowiednio usposobioną, poprosiłabym go o bliższe szczegóły tej metody.

— Nie dostrzegłem tego, że pani jesteś smutną lub rozgniewaną.

— Lecz jestem zmartwioną. Wyobraź pan sobie: dałam słowo pani Balbinie, że porucznik jest dziś u nas ostatni raz.

— Trudno będzie przyrzeczenia dotrzymać, jeżeli nie zrobi nic takiego, za co możnaby się pogniawać na niego.

— Prawda, a jednak muszę....

— Istotnie, jesteś pani w przykrem położeniu.

— W dramatycznym.

— Jakież był powód do dania tak hazardownego słowa?

— Moje rozdrażnione nerwy, moja gorączka, gwałtowność, którą pan znasz. Wybucham, i wtedy robię nedorzeczne postanowienia.

— Musiała pani Balbina dać powód?...

— Prześladowała mnie.

Młodzieniec walczył ze sobą widocznie, nim się zdobył na odwagę zapytania:

— A panna Jadwiga?

— Cieszy się, że porucznik przestał ją nudzić, a niezawodnie i dręczyć.

Na tem skończyły się zwierzenia.

Przy kolacyi Stasia posadziła przy sobie Władysława i, stosownie do ułożonego planu, nim się jedynie zajmowała.

Porucznik rozbierał w swej czworograniastej głowie przyczyny niechęci do niego odważnej i dzielnej dziewczyny i doszedł do przekonania, że, ponieważ starał się również o jej stryjeczną sio-

strę, pewno więc nie wierzą mu i swą obojętnością zmuszają go do stanowczego kroku. Postanowił przeczekać dzierżawcę i wystąpić otwarcie.

I stało się. Władysław wyjechał wcześniej—porucznik został sam z ojcem i córką.

Pan Ludwik wyszedł.

— Zaduży się pani zajmowała tym swoim dzierżawcą.... domyślał się, dlaczego—odezwał się z uśmiechem.

— Słucham—dziewczyna zrobiła surową minę, nie zastraszyła jednak nią porucznika.

— Dlatego—mówił dalej—aby mnie dokuczyć.

— Dokuczyć?—powtórzyła zdziwiona.

— Tak, dokuczyć, bo pani wiesz, po co ja tu przyjeżdżam. Zamilkł, patrząc jakie wrażenie zrobiło to wyznanie.

— Mów pan—rzekła wyniośle.

— Drażnisz mnie pani, bo się domyślasz, że mi się podobała i że....

Przestał, namyślając się, czy powiedzieć słowo „kocham“ czy też, ze względów przyszłej tresury, opuścić.

Groźna postawa dziewczyny przestraszyła go nieco, zapomniał się i wypowiedział:

— Że panią kocham i że się z nią ożenię.

— Nie ożenisz się pan—odparła cicho, nie mogąc podnieść głosu z oburzenia i gniewu.

Porucznik ze zdziwienia powstał.

— Nie—powtórzył—ależ to *nie śmie być*.

— Śmie być i będzie.

— Pani nie wie, że ja mam majątek, który wart jest więcej niż pół miliona guldenów....

— Wiem.

— I że jestem w sile wieku, a kobiety nazywają mnie przystojnym mężczyzną....

Stanisława uśmiechnęła się; rozśmiał się i porucznik nerwowo.

— Ale to są grymasy!—zawołał.—I nie mam co z panią rozprawiać: zrobisz jak ojciec każe, a potem będziesz mu wdzięczną, i mnie także. Z dziećmi postępuje się, jak z rekrutami.

— Ani dzieckiem, ani rekrutem nie jestem i ja sama decyduję o swym losie—odpowiedziała spokojnie, lecz stanowczo.—I chociażbyś pan zamiast pół, miał dziesięć milionów, a kobiety mówily, że pan jesteś nietylko przystojnym lecz pięknym, — żoną pańską nie będę.

— Dlaczego?—zawołał pełen gniewu.

— Nie ma w panu nic, coby mnie do niego pociągało—nic! Nie mamy jednej wspólnej myśli, jednego wspólnego pragnienia.—Zamyśliła się, układając wzburzone myśli.—Nareszcie nie lubię ludzi, którzy młodość swą przepędzili w koszarach z przypiętym do boku pałaszem i uczyli się drugich zabijać. Dla oszczędzenia nowego zawodu, nie radzę panu używać pośrednictwa mego ojca. Po tem, co powiedziałam, obecność moja byłaby zbyt cenną. Żegnaj pana.—Skłoniła się głową i wyszła.

Porucznik stał na środku pokoju, niemogąc narazie oprzytomnieć. Piorun z jasnego nieba nie zatrzęsłby tak jego organizmem, nie skłócił jego myśli, nie zdruzgotał jego wyobraźni. On, co każdego cywila uważał za istotę niższą od podofficera, dowiaduje się, że mają wstręt do niego za to, iż nosił mundur i pałasz przy boku. Zasady jego o wyższości stanu wojskowego zachwiały się, lecz zaledwo na jedną chwilę.

— Głupia dziewczyna! pomyślał—zakochała się w tym młodym cywile i pewno ma dość pieniędzy, aby go sobie kupić. Pochwycił kapelusz i wyszedł.

Na dziedzińcu stał zaprzężony powóz, do którego wskoczył, i nie pożegnawszy się z panem Ludwikiem—odjechał. Przez drogę uśmiechał się, lecz jakoś smutno, żartował sobie z głupiej dziewczyny, która miała odwagę odrzucać tak świetną partycję, wzamian za cywila, któremu będzie musiała frak i buty kupić. Mimo to czuł się upokorzonym i rozmyślał nad zemstą. Pewnym był, że gdy tylko powie czego chce, wyciągnie rękę—rzucą mu się w objęcia ze łzami radości i wdzięczności. Przykra go spotkała niespodzianka.

Gdy się zbliżał do żurawińskiego dworu, kazał jechać stępo, aby nie robić hałasu.

Na werendzie siedziała p. Balbina, p. Edward i Jadwiga przy zastawionej herbacie. Lampa, osło-

nięta matowem szkłem, rzucała białe światło na twarz zamysłonej dziewczyny.

Na dany znak konie stanęły. Za grupą świerków i modrzewi ukryty porucznik, patrzył ciekawie.

— Ładna jest — pomyślał — i smutna—dodał. Próżność dopowiedziała mu: „Rozpacza....“ Uczuł jakby wyrzut sumienia.—Ładniejsza od Amerykanki—zawołał z pewnym zadowoleniem.—*Goldener onkel* pewnie kupił połowę Żurawna!

Zajeżdżaj przed dwór—szepnął do woźnicy. Nagły turkot kół powozu zelektryzował całą rodzinę.

Pan Edward wybiegł na schody i porucznik wpadł w jego objęcia, sciskając go serdecznie.

Pani Balbina na widok gościa pokrasniała, jak ośmnastoletnia panna. Jedna Jadwiga była niewzruszona tem zjawiskiem. Poważna i zamysłona, nie zdradzała ani zdziwienia, ani radości.

— Zkąd bogi prowadzą?—pytał p. Edward, idąc z gościem na werendę.

— Od *goldener onkla*.

— A, od mego brata—przerwał p. Edward.

— Śmiertelnie się nudziłem.

— Nie było Stasi?—pochwyciła pani Balbina.

— Była, lecz był i ten państwo dzierżawca.

Jadwiga zarumieniła się.

— No, i gadali ciągle o Ameryce. Ależ to są kolosalne oryginały! Stary siekierą rąbie drzewo, a córka rozprawia z pierwszym lepszym o filozofii.

— Nie tak jeszcze dawno podobała się panu Amerykanka—zrobiła uwagę p. Balbina.

— Na koniu! Ależ przecież całe życie kobieta nie może siedzieć na koniu!... Już ja tam wolę, po Wiedenkach, nasze Polki.

— Powracasz, poruczniku, jak dezertter, —odezwał się p. Edward.

— Powracam *sakum pakum*—zawołał—spoglądając znacząco na Jadwigę.

Dziewczyna uśmiechnęła się tryumfująco.

Porucznik jadł kotlety, pił piwo i herbatę, rozprawiał i śmiał się głośno, zwracając się z komplementem do p. Jadwigi i p. Balbiny. Dla pana Edwarda miał wykrzykniki przyjaźni.

Po północy zaledwo wyjechał.

— Dzięki mojej dyplomacji zwyciężyliśmy — rzekła p. Balbina do męża, gdy zostali sami.

— Raczej dzięki Stasi, która dotrzymała słowa i odepchnęła porucznika.

— To jeszcze kwestya.

— Kwestya już rozwiązana, moja Balciu. Inaczej nie byłoby twej dyplomacji.

— Mniejsza, dość, że wrócił, i to stanowczo, nieodwołalnie.

— Tak się zdaje.

— Tylko Jadzia mnie martwi. Była zimna i obojętna....

— Musi mieć przecie swoją ambicyę—przerwał p. Edward. Ona-to została porzuconą dla Amerykanki, a raczej jej konnej jazdy. I gdy Amerykanka....

— Nie kończ. Powtarzasz się, mój drogi. Ponieważ masz wpływ na Jadwigę, powinienes zwrócić jej uwagę.

— Zostawmy to jej samej. Ma dwadzieścia dwa lata, rozum i takt. Da sobie radę.

Nazajutrz posłaniec przywiózł list z Górnego Żurawna tej treści:

„Pan! słowa dotrzymuję. Wczorajsza u nas wizyta porucznika była ostatnią.

Very truly *Stanisława*.

List ten wręczył służący, gdy rodzina była zebrana przy śniadaniu. Po odczytaniu przez Balcię, sięgnął po niego p. Edward.

— Czy wolno?—spytała Jadwiga.

Ojciec podał jej w milczeniu.

— I cóż ty na to, Jadziu, rzucił pytanie p. Edward, gdy białą ćwiartkę papieru położyła na stole.

— To, że Stasia jest szlachetna i stanowcza.

— Zrobiła to, coby każda uczciwa kobieta na jej miejscu zrobiła na pierwszej, nie na drugiej wizycie—odparła matka.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że porucznik, nim ją poznał, starał się o twoją rękę.

— Przecież Stasia o tem nie wiedziała—bronił siostrzenicy p. Edward.

Jadwiga milczała, a żeby uniknąć badawczego spojrzenia matki, zasłoniła się dziennikiem, udając, że go pilnie czyta.

XIV.

Rozpoczęły się częste wizyty porucznika w Żurawnie.

Zato Amerykanka przestała tam bywać. Sądziła, że jej obecność mogłaby być wyrzutem dla państwa Edwardów, a upokorzeniem dla Jadwigi; temwięcej, że wiedziała o każdej bytności porucznika.

Zaprzestano mówić o Amerykance w żurawiniskim dworze. Nieobecność jej i milczenie o niej, drażniły Jadwigę. Niepokój ją opanował, pomieszany ze wstydem. Czula, że na górze wydają na nią wyrok potępienia lub pogardy.

Jednego z tych dni bez słońca i wiatru, cichych i smutnych, wysunęła się potajemnie z domu i ścieżkami przez pola dostała się nad Wisłę, aby jej brzegiem dotrzeć do siedziby Amerykanki.

— Nareszcie jesteś!—zawołała Stasia—całując ją. Czekałam cię od dwóch tygodni, i drżałam o ciebie. Przyszłaś: więc jesteś uratowana?

Jadwiga uścisnęła ją serdecznie i siadła na koźce, zmęczona i blada.

— Jadziu, milczysz? Może się omyliłam?

— Partya jeszcze nie rozegrana.

— Cóż twoi rodzice?

— Czekają niespokojni na mój wyrok.

— I spodziewają się, że będzie dla porucznika pomyslnym?

— Są nawet tego pewni.

— A ty?

Dziewczyna poważnie, lecz smutno spojrzała na siostrę.

— Nie — nie wątpię i kocham cię — zawołała Stanisława.

Na dziedzińcu dał się słyszeć turkot, przed otwartymi oknami stanął powozik z Żurawna.

— Po mnie—szepnęła Jadwiga.

— Pan porucznik przyjechał — oświadczył słuchający, siedzący na koźle.

— Domyslili się, że jestem tu.

— I pewno się obawiają mego wpływu...

— Mam przecucie — przerwała Jadwiga — że dziś z porucznikiem będzie stanowcza przeprawa.

— Jutro przyjadę powitać uratowaną.

— Przyjeżdżaj rano.

Uściskały się, ręce Jadwigi drżały, była nerwowo rozdrażniona, wzruszona.

— Odwagi, odwagi!—szepnęła jej siostra, pomagając jej się do powozu.

Za odjeżdżającą długo patrzyła.

— Hesiły woli i energii musi zużytkować, aby się oprzeć, aby się zwyciężyć—biedna!— A ja?... Mnie tylko chodziło o dotrzymanie słowa, a bałam się swego oburzenia i gniewu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MARYA STÄFFE.

(Dokończenie)

Gdy batalion ochotników przeciągnął ulicami Brunświku, dążąc do obozu księcia pod wałami, ciągnął za nim tłum ludzi, ale ludzi posępnych, smutnych, myślących troskliwie o jutrze, i nie był to już dzień wczorajszy, pełen gorącego uniesienia na widok chorągwi z narodowymi barwami. Wczoraj to było upojenie, szal, zachwyt—wybuch uczucia, które wyrwało się z serca, jak potok wezbrany;

dzisiaj nastąpiła godzina rozważki, dzisiaj smutne wieści krążyły w powietrzu. Oglądano się bojaźliwie za każdym hałasem, czy to już nie generał Reubell nadciąga i wobec poświęcenia gromady szlachetnych, serca były ściśnięte, oblicza ludzi poważnych blade. Obok maszerujących środkiem ulicy szeregów, wieszaly się stronami kobiety płaczące: żony, matki. Ocierały łzy cicho, ale niemniej łzy te płynęły; że przecież muzyka, postępująca przodem, grała, ludzie wybiegali z domów, stawali przed bramami, patrząc. Jakitaki mówił smutnie:—Otl ucziwi ludzie....

Spełniał się wielki obowiązek; każdy to czuł i nikt nie pojmował rzeczy inaczej.

Marya spotkała nadciągające szeregi przed bramą miejską. Michał Stäffe kazał zatoczyć do obozu beczkę reńskiego wina, aby każdy z ochotników wypił przed wymarszem czarę wzmacniającego napoju, i Marya śpieszyła tam do pomocy mu w rozdawaniu, gdy naraz ujrzała w pierwszym szeregu kompanii rzemieślniczej Karola Feldner, który spojrzał na nią wzrokiem smętnie zadowolonym. Niegdyś, ratując nieznanego, odgadnął przez jasnowidzenie miłości, że ten człowiek jest drogim Maryi i teraz też oczy jego powiedziały jej:

— Patrz... nie on tylko jeden jest zdolnym poświęcać się... i ja stanąłem w szeregu tych, którzy potrafią umrzeć, gdy należy...

Dobre jej serce poruszyło się w piersiach; posunęła się, aby mu powiedzieć na drogę słowo życzliwej siostry, lecz obok syna spotkała matkę, która przecież przyjęła ją łzami i wyrzutem!—To ona zrobiła, że młodzieniec szedł na kule wrogów... ona, która go pobudzała, która nie chciała go kochać inaczej... Wysłała go przecież na śmierć pewną... Westfale już wracają do miasta, po pierwszym przestraszu, który minął, już się ściągają. Menk wrócił w nocy — przegląda, spisuje...

Marya drgnęła i pochwyciła rękę kobiety. Gdzie on jest? co spisuje? Ocalenie księcia i jego wojska zależało na tem, aby nieprzyjacieli nie znalazł rzeczywistego stanu sił, któremi rozporządzano. Wszystko polegało na tem—wszystko... Jeżeli małą armią obsaczają, nikt nie ujdzie...

Kobieta się zlekła. Więc i jej Karol zginąłby wtedy już niezawodnie! Szewc Lampertz, który kupił od niej stary dom na przedmieściu, gdzie Marya mieszkała niegdyś z ojcem, powiadał jej o tem. Menk mieszkał u niego, u niego, na facyetce w podwórzu. Wrócił po północy i od świtu czatuje na różnych ludzi, wywiaduje się o to właśnie, co tak przestraszyło Maryę: ile wojska, ile dział ma książę?...

Marya schwyliła się za głowę. Co robić, ach! co robić? Dostać się w tej chwili do księcia—niepodobna. a tu każda minuta mogła rzecz rozstrzygnąć, bo Menk każdej minuty mógł wyprawić raport do generała Reubell. Maryi uderzyło w piersiach, jakgdyby męskie serce i zostawiając w tyle po za sobą wszystko i wszystkich, puściła się w kierunku domu szewca Lampertz, którego kącik każdy był jej doskonale wiadomym, bo przeżyła w nim obok ojca lata długie. I zajmowana przez Menka facyatkę znała również; wznosiła się ponad dworkiem, z oknem na podwórzu wychodzącym, z wejściem po schodach wązkich, prowadzących za podwórka. Domek cały zajmował właściciel z czeladzią, ale teraz nie było w nim nikogo — nikogo, prócz Menka na górze i głuchej siostry gospodarza na dole. Wszyscy zresztą, do najmłodszego chłopca, odbiegli roboty, jak całe miasto prawie, rzucili się w stronę obozu, i panowała tu cichość, prawie straszająca. Głucha panna przędła i śpiewała, nikt może nie zawiadomił jej, co się działo na świecie bożym, i Marya, stanąwszy w sieni, słyszała przez uchylone drzwi jednostajny turkot kółka i przeciągły, smutny ton jej piosenki. Ale nie zatrzymała się, nie potrzebowała tego czynić; sama jedna puściła się lekką stopą na wschody i śmiało zapukała do drzwi.—To ja, Marya!—zawołała zarazem—ja... proszę otworzyć.

Menka snadź zelektryzował ten głos, mimo wszystkiego, co zaszło, tak dla niego czarowny, że zapomniawszy przebiegłości żandarma i odemknął poprzedniej ciężki, na dwa spusty zamykający się za-

mek — otworzył drzwi. Był ubrany pocywilnemu; na stole leżał pugilares i pistolet.

Marya, choć musiała doświadczać uczucia, jakgdyby wstępowała do jaskini dzikiego zwierza, szybko posunęła się naprzód — uchwyciła razem te dwa przedmioty i Menk zrozumiął, po co przyszła. Rzucił się ku niej, on, chłop mocny, barczysty, — rzucił się ze wściekłością namiętą i rezultat walki zdawał się być z góry przewidzianym. Marya przecież walczyła, szamotała się odważnie, aż naraz pistolet, który jej odbierał — wystrzelił. Wystrzelił, wydzierany jej z rąk, i Marya wydała bolesny krzyk, bo kula trafiła ją w ramię. Menk się przeraził, bo on jednak kochał niegdyś tę kobietę. Odskokzył w tył.

Ona blada, stała minutę jakąś spokojnie; odechnęła, zachwyciła w pierś powietrza i jednym skokiem znalazła się na progu, a była tak cudownie przytomną, że ręką, której białe rękaw, wymykający się z pod czarnej aksamitnej sznurówki, zboczył się krwią, wyrwała klucz z zamku, zatrzasnęła za sobą drzwi, i szarpane silnie przez Menka zdążyła jednak zamknąć.

Jest w Monachium jej portret, przedstawiający ją w tej chwili. Nie blada, lecz przeciwnie rozruminiona gorącym, palającym rumieńcem, z oczyma, które miotają iskry, z jasnym włosiem, który wśród walki zjeżył jej się nad czołem, stoi i brocząc krwią nie tylko rękaw, ale i białe na zielonej atłasowej spódnicy, fartuszek, podpira sobą mocne, dębowe, z grubych prostych desek zrobione drzwi.

Rana nie była prawie raną; kość nie została dotknięta i kula tylko że drasnęła ciało, rozdzierając skórę. Ale zawsze krew płynęła obficie, wzruszenie i szamotanie się z Menkiem, wyczerpały ją; zdawało jej się, że w tej chwili zamknie oczy i — umrze.

Aż nagle spostrzegła, że pugilares został uronionym w czasie walki. Jęknęła, ale to ją otrzeźwiło. Poczęła wołać pomocy; wołała, krzyczała, Menk podsadzał silnymi ramionami drzwi, już trzeszczące, ale Liza Lampertz nie słyszała jej: śpiewała i przędła.

Biedną Maryę znów ogarnęło omdlewanie, wzrok się ściął, a Menk szalenie drzwi wybijał, bo krzyk dziewczyny i poprzedni huk wystrzału mógł sprowadzić ludzi. Dobywał też sił ostatnich—oboje dobywali ich, lecz Marya już teraz legła pod progiem, nie zdolna ustać o własnej sile, głos jej już też przyciszał się, aż cudownie zjawiała się pomoc, ale niestety! pomoc niewieścia. Zona mieszkającego w sąsiedztwie muzyka z orkiestry niedys książęcej, kobieta młoda, mająca zostać wkrótce matką, usłyszała wołanie i idąc za głosem dostała się do Maryi, która, przyciągnąwszy do siebie pochylającą się ku niej kobietę, wyszepała jej zwierzenie. Losy tysiąca ludzi zależały od tego, aby zjawiała się siła, mogąca ująć Menka.

— Czy tylko on tymczasem nie wybije drzwi, a ja nie umrę?—myślała biedna dziewczyna, cierpiąc i nie wiedząc, że na szczęście, stan jej nie był zatrawiającym. Główne niebezpieczeństwo było w tym, że Menk zaczął nagle wylupywać zamek krótkim pałaszem żandarmskim.

Ale nie zdążył tego dokonać i Marya wydała krzyk radosny, gdy w krótkiej chwili po oddaleniu się jej posłanki, może w minut kilkanaście, usłyszała na schodach szczeł broni i kroki przybywających żołnierzy. Był to patrol pieszy, spotkany przez kobietę zaraz w pobliżu, patrol z tak rozumnym oficerem na czele, że nie odnosząc się po rozkaz do wyższej władzy, na własną odpowiedzialność poszedł aresztować Menka, który daremnie chciał się bronić i strzelił z pistoletu, w chwili, gdy drzwi się otworzyły. Ale tym razem rzeczywiście Bóg niósł kulę, bo nie trafiła nikogo, atkwiwszy w przeciwną stronę sieni; zabrano skropowanego—i wtedy dopiero Marya straciła przytomność.

Wyniesiono z domu omdlałą, a fakt to autentyczny, że głucha prządka na dole nic nie słyszała, nie wiedziała nic, co się działo. Przędła i śpiewała: nie zerwała się nitka kądzieli, nie pękł ton piosenki.

Czy to była istota bardzo biedna, czy istota bardzo szczęśliwa?

Taka trwoga jutra, taki strach przed mającym

powrócić wrogiem, panowały już w mieście, że wysłanka Maryi, lekając się, aby ktoś nie wiedział że to ona wydała zdrajcę, dała tylko officerowi patrolu znak, gdzie mu wejść należy—przechodząc koło dworku Lampertza upuściła chustkę. Duch był mdły, ale serce kochało, i nie zdradziła obowiązku.

Marya, osłabiona wpływem krwi i przebytymi wzruszeniami, nie dała się jednak położyć w łóżku. Została przy oknie swej facyatki, aby widzieć wymarsz wojska, i widziała go. Widziała ujeżdżającego księcia, unoszoną chorągiew narodową—widziała to.

Ale słyszała i pieśń, którą Fryderyk Wilhelm, jadący przed szeregami, śpiewał. Wszyscy jego wojownicy powtarzali ją za nim i potężny chór męzkich głosów brzmiał wśród ciszy najwyższej stojącego szpalarem ludu. Słońce schodziło już z południa, lejąc gorące promienie; wozy z taborem wojennym ruszyły przodem, potem szły działa i artylerya; wreszcie ciągnął bataljon konnicy, na którego czele jechał książę. Śpiewał; za nim hufiec jego i ciżba piechoty, zamykająca pochód; wszystko śpiewało:

Panie, złożyłem w Tobie nadzieję,
Choć jej światelko z wichrem się chwieje
W ostatniej swojej iskerce.

Lecz Ciebie, Boże, wziął do pomocy,
Więc nie zabłądę w ciemnościach nocy,
I dasz mi pokój Twój w serce.

Tys dotąd drogi me znaczył, Panie!
Ty kierowałeś me wędrowanie
Skinieniem ojcowskiej dłoni.

I choć-em w różnej bywał potrzebie,
Zawszem podnosił wzrok mój na Ciebie,
A Tys ratował w złej toni.

W kilka godzin potem dał się słyszeć w mieście głuchy huk kanonady. O milę drogi pod wsią Oelper, książę spotkał się z Westfalami i musiał przyjąć bitwę. W ciepłym powietrzu letniem rozległ się wyraźnie strzał każdy i Marya dostała wtedy gorączki. Położono majaczącą i nie wiedziałą już potem nic o wypadkach, które szybko następowały po sobie. O zapadnięciu nocy działa przestały grać i do miasta przyszła wiadomość—szczęśliwa, że książę zwyciężył! Potwierdził ją Stäffe, który na miejscu był i wracał pośpiesznie, aby w gospodzie jego urządzono lazaret dla rannych, z którymi wozy z Oelper zaczęły też wkrótce przybywać. Był między nimi Karol Feldner; kula urwała mu nogę i matka nieszczęśliwa przyjęła go, łamiąc ręce. Westfale cofnęli się z placu boju do wsi, lecz książę wracał do miasta i zajął wczorajsze swoje leże, które jednak dać mu mogły tylko krótki odpoczynek—chwilę koniecznego wytechnienia dla ludzi i koni po walce przebytej. Ale za ledwie świt począł różowo błękit nieba, trąbki sygnałowe zagrały i obóz został zwinięty. Książę wyruszył z miasta pierwej, niż nawet ludność zbudzona wiedzieć o tem mogła. Nawet w gospodzie u Petrithor spano jeszcze i tylko Marya biedną obudziło coś. Gorączka jej przeszła; sen kilkogodzinny złagodził naprężenie nerwowe i słaba, ale już nie chora, podniosła się. Chciała spojrzeć na niebo i szła ku oknu, gdy naraz słuch jej uderzył głuchy szmer maszerującego mnóstwa. Potem nadciągnęła konnica i na jej czele książę. Jechał, otulony płaszczem, zamysłony i smutny, ale, mijając gospodę Stäffe, podniósł oczy. Może pomyślał w tej chwili o Maryi, o tej, co się modliła za niego do Boga i zobaczył ją nagle. Błada, ze starganym włosom, ukazała mu się z okna i on, wzruszony, przytrzymał konia. Spojrzenia się zbiegły i pożegnały.

Dzień, który nastąpił po tym poranku, był dla mieszkańców Brunświku ciężkim do przebycia. W południe nadciągnął generał Reubell, w połączeniu z brygadą holenderskiego generała Gratien i, zadziwiony, zatrzymał się u bram miasta, które znalazł nie strzeżone i otwarte. Przybywał z zamiarem zdobywania miasta szturmem, z zamiarem stoczenia stanowczej bitwy z księciem, i dla tego-to nadłożył ogromnie drogi, zatoczył

krąg szeroki, dla zajęcia pozycji najwygodniejszych, gdy naraz spostrzegł, że wszystko to było niepotrzebnem. Wczoraj, po pierwszej porażce zadanej mu przez Fryderyka Wilhelma, generał westfalski cofnął się i puścił nieprzyjaciela do miasta, bo nie znał sił jego. Czekał na połączenie się z generałem Gratien, aby wtedy dopiero uderzyć, lecz teraz oto już nie było nikogo...

Wypuścił go... wypuścił niebezpiecznego wroga, mogąc go rozbić, a może nawet żywcem pochwyć! Reubell czuł, że popełnił błąd wielki i szalał też ze złości, ale to szpieg jego, wysłany na wiadomości do miasta, nie wrócił, a w kraju silnie nieprzyjaznym, gdzie każdy mieszkaniec mógł tendencyjnie klamać, powzięcie wiadomości było niełatwem! Że Menk został rozstrzelany za wyrokiem sądu wojennego, który nań złożono na prędce, dowiedział się natychmiast, bo wiedziało o tem miasto całe, ale kto go wydał? Reubell nakazał poszukiwania bardzo surowe, które przecież nie doprowadziły do niczego. Rzeczywiście nikt nic nie wiedział—tajemnica utonęła między dwiema kobietami.

Gniew roznamiętzonego żołdaka był tak wielkim, że zagroził zrabowaniem miasta, wydaniem go przez sześć godzin na łup wojska, jeżeli do dwunastej godziny w nocy winny wydanym nie zostanie, i powstał w mieście zamęt straszliwy, aż prefekt miasta, hrabia Henneberg, choć urzędnik z ramienia francuzkiego, uczył w sobie odzywające się serce, poczuł się do wspólności z ludem, względem którego stał jako renegat. Oświadczył generałowi, że każe uderzyć na gwałt we wszystkie dzwony miejskie i wezwie mieszkańców do obrony własności swojej. Zawezwanym też zostanie do pomocy lud wiejski i skutki tego zbrojnego powstania muszą przypaść na odpowiedzialność generała.

Cofnął się on przed nią; głuchy spokój nastąpił po wzburzeniu rozpacz, ale Marya poznała teraz dopiero po gniwnym szale wroga, jak ważnym, jak wielkim w znaczeniu był jej czyn! Niewątpliwą było rzeczą, że ocaliła przed zagładą księcia i chorągiew narodową.

Co uczuła w chwili pozyskania tej świadomości? Gdy stryj, przybywający z miasta, z ratusza, gdzie jako radca magistratu przebył chwili okrutne i nie wiedzący nic o tem, jaki był jej udział w tej sprawie, opowiedział, co się działo w mieście przed chwilą—ona padła na kolana i tak się modliła ze złożonymi rękami, jak ktoś dziękujący Bogu za dobrodziejstwo najwyższe.

Ale leżały jeszcze przed nią góry boleści do przebycia, stały do spełnienia kielichy żółci i hyzopu. Rana Feldnera była śmiertelną. Ta kula armatnia, która urwała mu nogę, była kulą zabójczą i tylko śmierć, którą przyniosła, przychodziła powolnie. Na drugi dzień rano lekarz spostrzegł gangrenę a wieczorem oznajmił, że śmierć się zbliża.

Matka stara już nie płakała teraz, już nie rzucała jej klątwy na głowę. Była cała jedną boleścią, jedną rozpaczą.—O! sierota ja!—jęczała zicha—sierota ja nieszczęśliwa!

Sierota z siwymi włosami! Starość samotna jest takim sieroctwem, jak dzieciństwo opuszczone i Marya z błyskiem rozpacz w oczach słuchała tego jęku boleści. Ponieważ Feldner miał ostatnie chwile spokojne i przytomne, poprosiła, aby ją na moment jeden zostawiono z nim samą. Nie przestała ona być dla umierającego młodzieńca zawsze najdroższą na świecie istotą, i dla tego też poparł jej żądanie, chciał, aby mu zadosyć uczyniono. Po godzinie niesłyszaną przez nikogo rozmowy między tem dwojgiem chory przywołał matki i Michała Stäffe: chciał się dysponować na śmierć, żądał księdza, aby mu dał posilenie ostatnie na drogę wieczności i połączył go z Maryą—ślubem *in extremis!*

Próżno Stäffe chciał stawiać opór bolesnej i, jak sądził, bezużytecznej ceremonii; próżno matka sprzeciwiała się też temu, zazdrosna względem kobiety, która synowi jej nie chciała dać miłości swojej, póki życie było przed nim, a teraz w godzinę śmierci zobierała sobie jego chwile ostatnie i wdowią po nim żałobę. Ale on tego chciał, patrząc na ukochaną kobietę wzrokiem smętnie tkli-

wej czułości, trzymał jej rękę w swej dłoni, żądając, aby je związane,—i musiano zadosyć uczynić jego woli. Mało co przed północą Marya przysięgła umierającemu wierność swoją, a zanim słońce weszło—już nie żyła.

Wtedy Marya wróciła się do starej jego matki ze słowami podobnemi tem, które Rut wyrzekła do Noemi.—Twój dom będzie moim domem, matko!—zawołała, i dopełniła obietnicy. Opuściła stryja i jego dom dostatni, dom pełen pamiątek drogiej, przeniosła się do małego dworku na głuchem, zapadłem przedmieściu, aby żyć obok starej kobiety zbolelej i cierpkiej, niekochającej jej nigdy, i nieraz, gdy boleść targała jej nazbyt serce, wybuchającej gorzkimi słowami żalu do niej. Warstat siodlarski upadł ze śmiercią jego właściciela, pokazało się na nim coś długów, ciężły one także na małym domku, przytem potrzeba było żyć. Marya chciała, aby staruszka miała wygody takie, jak za życia syna, i wydawała, wydała powoli swój mały, po rodzicach odziedziczony mająteczek, który zabezpieczał przecież jej przyszłość. Ale dla dnia terażniejszego zapominała o niej, przytem biedna stara nie na długo przeżyła syna; umarła w niecałe dwa lata po nim, Marya przecież nie chciała już wrócić do stryja, wyuczyła się roboty koronek i, utrzymując się z tego rzemiosła, mieszkała w małym domku, który stał się teraz jej własnością—wdowa Feldner, jak zwolna sąsiedzi nauczyli się ją nazywać.

Aż przyszła godzina upadku Napoleona I i rozpadnięcia się Królestwa Westfalskiego. Teraz Hieronim Bonaparte stał się wygnancom, król bez tronu i wtedy, gdy on odjeżdżał jedną stroną, drugą—d. 22 Grudnia 1813 r., Fryderyk Wilhelm wjechał do stolicy swego księstwa, a droga jego prowadziła znowu koło gospody Stäffe, której gospodarz stał przed bramą uwieńczoną w zielone wieńce choinowe, ale stał tam sam jeden. Marya nie znajdowała się już przy jego boku i książę, witając wdzięcznym skinieniem głowy poświęconego mu człowieka, daremnie szukał jej wzrokiem. Była tu, ale w kątku: schowana poza innymi, płakała cichymi łzami melancholijnej radości i nie chciała ich pokazywać oczom ludzkim, jak nie pokazywała ich nigdy, gdy w cichych chwilach otaczającej ją samotności niezłamana nigdy siła wspomnień kazała im płynąć na lice piękne zawsze, ale zeszczipałe teraz i blade, jak lica wdowy. Otarliży je, te łzy może dobroczynne, bo zabierały ze sobą mimowolny żal do losu, może do Boga, schylała się nad klockami koronczarki i pracowała na chleb, którego, póki żyjemy, potrzeba nam przecież.

Na drugi dzień po wielkiej uroczystości wjazdu książęcego, gdy się stał koniec festynom i wrzawie radosnej, wieczorem już zupełnie ciemnym, wysoki, płaszczem poręcznika od ułanów otulony, officer, wszedł do domu Feldner i zapukał do drzwi Maryi. Był to książę; ona nie przyszła do niego, nie ukazała się jego oczom: on więc szedł do niej z ręką wyciągniętą do przyjaznego uścisku, za słodko wymawianem wezwaniem jej dawnem:—Maryo!...

Ale ona osunęła mu się do kolan.—Miłościwy książę!—zawołała rozrzewniona—wy tu!... w takim domku ubogim.

Chciał go zamienić na inny: chciał jej dać donacyą: dobra położone w okolicy Wolfenbüttel, chciał wreszcie dać choć pensyą dożywotnią za oddane mu niegdyś usługi—ale nadaremnie. Nie chciała przyjąć nic, nic—płakała na samą wzmiankę, aby jej zapłaconem zostało to—co czyniła nie dla zapłaty. Odrzuciła podobnie inny objaw wdzięczności księcia, aby się widywali niekiedy. Nie, rzecz była niemożliwa! Ani go tu przyjmować, ani na zamek książęcy iść do niego nie mogła.

Prosił, prosił usilnie, aby choć wróciła do gospody Stäffe, ale odmówiła i tego. Może ona uciekła tu przed tem właśnie, co ją tam ściagało? Przeszłość musiała zostać zupełnie, zupełnie odcięta od terażniejszości i nawet miejsca, budzące zbyt żywo pamięć tego, co minęło już niepowrotnie, powinny być zostać zagrodzone—zamknięte dla niej.

Zabezpieczyła się przeciw wszystkiemu, co mogłoby uderzyć za silnie na słabe serce kobiety i nic, ani nikt nie wymógł na niej, aby wyszła

z poza tych zasieków obronnych, które wznosiła sobie mądrze. Od owego wieczoru powitania, nie widziała już nigdy księcia zblizka, nie mówiła z nim samnasam. We dwa lata potem, już go też nie było na ziemi. Żołnierz, skończył śmiercią żołnierską: zginął w ponownej wojnie przeciwko Napoleonowi I-mu, za powrotem jego z Elby.

Ona żyła jeszcze lat wiele i doczekała się siwego włosa na głowie. Przeżyła młodość, miłość, szczęście, piękność: wszystko to widziała pozostające z sobą w tyle—samotna! Z rzeczy nowych spotykały ją tylko ubytki; oczy zaczęły się męczyć nad mozolną pracą koronkarstwa i wtedy przyjęła małą pensję z funduszu zwanego „Liebesgabe“, który powstał ze składek narodowych i był przeznaczony dla wdów i sierot po poległych w wojnie o niepodległość kraju. Otrzymała to, jako wdowa Feldner.

Piękna, szlachetna postać kobieca—tkliwa i silna, gorąca i czysta!

Marya Ilmicka.

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Paryż—Ischia. — Reklama. — Hoff. — Ogłoszenie literackie. — Cieszka. — Wystawy: Monachijska, Wiedeńska elektryczna, Hygieny w Berlinie. — Elektryczność. — Sobieszciana w Wiedniu i Krakowie. Albumy. Rzeźby. — „La voce della verità“ o odsieczach. Numer jej poświęcony. — Sobieski i Niemcy. — Polemika. Wspomnienia Maxyma du Camp. — Flaubert, Gautier, G. de Nerval.

(Dokończenie).

Żalujemy bardzo, że rozmiary listów naszych nie pozwalają nam podać szczegółowej treści tych wspomnień i zmuszają do ograniczenia się małemi z nich wypisami.

Zanotujemy najpierw wrażenie, jakie na młodym Du Campie uczynił dramat — nie dramat ale widowisko w Cyrku Franconich, które nosiło tytuł: „Les Polonais“. Występował w niem fantazyjny jakiś bohater Pauliński obok historycznej hrabianki Plater. „Wiedziałem o tem — pisze autor — że Pauliński był bohaterem zmyślonym przez autorów melodramatu, ale w dzieciach wyobraźnia jest tak żywa, tak namiętna, iż tworzy rzeczywistość i wymysłem nadaje ciało dotykalne. W rzadkich dziennikach, jakie się do rąk moich dostawały, szukałem faktów dotyczących się tej wojny, i przykro mi było nie znaleźć nigdzie nazwiska Paulińskiego. Wystawiałem sobie, że on istnieć musiał rzeczywiście, a gdy się z mojej naiwności uśmiechano — przykro mi było. Takim zresztą byłem zawsze w ciągu mojego dzieciństwa i młodości“.

W roku 1843 poraz pierwszy poznał Du Camp tego, którego miał być później przyjacielem najlepszym aż do zgonu: Gustawa Flaubert'a.

Urodzony w r. 1821, miał naówczas skończonych lat dwadzieścia jeden i — zdaniem autora, heroicznie był piękny. Znajdował się w Paryżu dla studyów prawnych. Ojciec jego, mieszkający w Rouen, zajmował tam posadę naczelnego chirurga głównego szpitala. Olbrzymiego wzrostu i siły, Flaubert młodość swą pożerał namiętnie, nie oszczędzając ani jej, ani siebie. „Zdrowie jego — pisze autor, — niczem jeszcze nie nadwężone, dozwalało mu podolać wysiłkom i trudom nadzwyczajnym. Po całych dniach pracując nad studyami prawnymi, do których nie miał najmniejszego powołania, biegając po ulicach, obiadując, uczęszczając na widowiska — był zawsze przy swej ociężałości wrodzonej, ożywionym, bawił się i uczył razem, pieniądże wyrzucał, głodem marł, jednego dnia za obiad płacił pięćdziesiąt franków, a nazajutrz zaspakajał się kawałkiem chleba i ogryzkiem czekolady — deklamując wiersze, wrzeszcząc prozą — rozmiłowując się w wyrazach, które nieustannie powtarzał, roznamiętniając do rzeczy miernych, w których upatrywał piękności jemu

tylko widome. Flaubert hałasował i dziwaczył... Budził mnie czasami o trzeciej rano, aby iść przypatrzeć się odbiciu światła księżyca w Sekwanie; desperował, że sera z Pont Levêque nie było dobrego w Paryżu, wymyślał sosy do ryb i razem wybierał się policzkować Planche'a, za to, że śmiał źle mówić o W. Hugo“.

Takim się po raz pierwszy tu przedstawia Flaubert, postać, talent, umysł, organizm oryginalny, który później okrutna choroba miała wywiechnąć i skoszlawić. Du Camp poznaje go bliżej i lepiej wkrótce.

„Mówiono o Flaubercie — dodaje — że był realistą, nazywano go naturalistą; chciano go uczynić rodzajem literata-chirurga, dyssekującego namiętności ludzkie, rozbiierającego serce — śmiał się z tego sam — był lirykiem (?) Doszedł on do tej szczególnej teorii, że wyraz, który był najbardziej harmonijnym, był zawsze najwłaściwszym; harmonii frazesów poświęcał wszystko, niekiedy nawet grammatykę... powtarzał często „Nic nie, znaczy to, co się mówi, wszystkim jest — jak się to powie; dzieło sztuki, chcące czego dowodzić, przez to samo jest już zabite. Piękny wiersz bez żadnej myśli więcej wart niż zawierający myśl a mniej szczęśliwy. Bez formy niema zbawienia. Jakąkolwiek jest treść książki, dobrą ona jest, jeżeli dozwala się rozpisnąć językiem pięknym. Od chwili gdy wziął pióro do ręki — kończy du Camp, — aż do zgonu, był wyznawcą teorii sztuki dla sztuki“.

Dodać należy, iż ją doprowadził do absurdu.

Studjum nad charakterem i talentem Flauberta, geneza jego dzieł, są nadzwyczaj zajmującymi. Pierwszą myśl opowiadania, które się daleko później ukazało, powziął Flaubert (Kuszenie Ś. Antoniego) oglądając w Genui pałac Doria, z obrazu Teniersa czy Breughela. Z tego kuszenia, niedokończonego naówczas, miała się zrodzić pani Bovary. Flaubert pisał powoli, przerabiał — i „Wychowanie sentymentalne“ było podwakroć coraz inaczej tworzone. Pierwsze wcale się nie ukazało.

Ojciec Flauberta miał osobliwe wyobrażenie o znaczeniu literatury. „Pisać — mówił do syna — jest to sobie niezłą rozrywką, lepsze to, niż chodzenie po kawiarniach i gra w karty: ale czego potrzeba, aby pisać? Pióra, atramentu i papieru — nie więcej. Każdy, kto ma czas na to, może napisać taki romans, jak Hugo lub Balzac. Ale — literatura, poezja — do czego się to zdało? Tego nikt mi nigdy nie powie“.

Syn bronił tego, co zwał poezją życia ludzkiego. W kilka lat później Flaubert, dokończywszy „Kuszenie Ś. Antoniego“, czyta je przyjaciółom, Du Camp'owi i Bouilhet'owi. Nużące to czytanie trwa całe dni cztery, po kilka godzin.

Autor rozpoczyna je wstępem: „Jeżeli nie będziecie wyć z uwielbienia i zapału — nic w świecie was poruszy — chyba nie zdoła“.

Tymczasem słuchacze nadludzkim wysiłkiem bronić się muszą od snu przy czytaniu. Praca trzyletnia wydała się im zupełnie pronioną i bez ogródki oświadczyli to autorowi, który obstawał przy tem, że to, co stworzył, było pięknem.

Pierwszy pomysł do pani Bovary podał przyjaciel Bouilhet. Prototypem męża był niejaki Delaunay, chirurg, uczeń ojca Flaubert'a, który jako lekarz praktykował w Rouen. Ożeniony naprzód z kobietą starszą od siebie, którą sądził bogatą, po owdowieniu zaślubił młode dziewczę ubogie, wyszłe z pensjonatu miejskiego. Była to kobiecina nieładna, z włosami płowo-żółtymi i twarzą piegowatą, roznerwowana, raczej chora, niż występna... Historyją jej z małemi zmianami opowiedział wistocie Flaubert w „Pani Bovary“ ale w pierwszej chwili, gdy Bouilhet mu poddał ją — ani słuchać nie chciała. Du Camp powiada, że gdyby owo „Kuszenie Ś. Antoniego“ szczęśliwie się powiodło i było lepsze, Flaubert nigdy by nie myślał pisać pani Bovary.

Sam tytuł — nazwisko — przyszło autorowi w chwili, gdy — przypatrywał się kataraktom na Nilu!

On i Du Camp odbywają podróż na Wschód, w którą my się z niemi puścić nie możemy. Powracają z niej w r. 1849. „Flaubert i ja — pisze du Camp, napróżno uciekaliśmy od polityki: dosięgała nas tysięcznymi rozporządzeniami policyi,

która ściagała po muzeach i podsłuchiwała rozmowy nasze w pieczarach Herkulanum. Nie wadziła wiele, ale się stała naprzykrzoną i nieraz zamierzonych wycieczki musieliśmy zaniechać. Flaubertowi w Rzymie było dobrze, i jak w pierwszej młodości, wywoływał cienie gladiatorów przebiegających wschody Kolizeum; kijem uderzał po bruku Via-Sacra, żalując, że nie widział Tytusa tryumfującego, przed którym siedmioramienny świecznik niesiono“.

„Świat, z całą niezmiernością swą, — powiada Rückert — należy do wędrowca.“ To prawda, myśmi sami tego doświadczyli. Życie, ustopniowane, ciasne, sformułowane, powoływało nas nazad ku sobie; mieliśmy znowu zając nasze numerowane miejsca w cywilizacji“. Podróźni znaleźli się w Paryżu w Maju 1851 roku. Na tem się kończy pierwszy tom pamiętników Du Camp'a; o drugim będziemy mówili osobno. Oprócz Flaubert'a i mniej znanego Ludw. de Cormenin, autor mówi tu o Gautier'rze i często go wspomina. Sławny Théo — co do zasad niewiele się różnił od Flaubert'a, wierząc w sztukę dla sztuki, i piękność a oryginalność stylu przekładając niemal nad głębokość myśli. Był także do szpiku kości artystą — lecz zamknięcie i praktyka malarstwa, bo Gautier namiętnie się mu oddawał, oddziaływała na barwność i oświetlenie jego stylistycznych utworów. Więcej też ubiegał się za oryginalnością formy niż Flaubert...

„Polityka — powiada o nim Du Camp — przyprowadzała go do rozpacz, marzył o ludzkości rozkochanej w formach pięknych, rozkoszującej się widokiem dzieł sztuki, żyjącej pod portykami z paryjskiego marmuru i nakazującej milczenie, aby słuchano głosu poetów. Gautier był dobry, był łagodny, a choć mu nie zbywało na dumie, nigdy nie dotknął nikogo. Cywilizacja uregulowana, nadzorowana, wśród której żył — nie podobała mu się, suknie nasze obcisłe wywoływały w nim obrzydzenie, zdawały się obelgą przeciw piękności człowieka“.

Mamy tu i sylwetkę tego nieszczęśliwego, napół obłąkanego, pół zdziczałego Gerarda Nerval, który skończył tak tragicznie. Był to mały człowieczek już naówczas, napół łysy, zawsze zmarzły i drzemający. Żył dopiero w nocy. Umysł jego ciągle był zaprzątnięty — cudownościami, kabałą, horoskopami, widzeniami i t. p. Du Camp uznaje go — chorym na nerwach i umyśle.

O drugim tomie tych wspomnień, w których Flaubert jeszcze wyraziściej występuje, powiemy w następnym liście.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 6 Października 1883 r.

Wrażenia z podróży do Niederwaldu. — Obchód inauguracji Pomnika Germanii. — Co jest w tej unii niemieckiej? — Posągi i napisy. — Powrót do Paryża. — Przyjęcie Króla Hiszpańskiego. — Świśnienie niewczesne. — Czyja wina? — Obchód pogrzebowy Turgenjewa. — Śmierć i wspaniały pogrzeb w Antwerpii Henryka Conscience. Jego stanowisko w literaturze narodowej. Śmierć Siraudin'a. Dramaturg i cukiernik. Człowiek i literat. Tegoroczna wystawa Sztuk Pięknych w Paryżu. — Meissonier i Brozyk. — „Wyrok potępienia na Jana Husa“ obraz Brozyka.

(Dokończenie).

Smutnem zrzędzeniem losu, współcześnie z Turgenjewem zmarł również znakomity powieściopisarz flamandzki, Henryk Conscience. Równieśnik prawie latami, a pokrewny talentem tamtemu — zostawił niczem niezapełnione miejsce w literaturze ojczystej. Jemu też równie wdzięczni rodacy sprawili powtórny pogrzeb w jego rodzinnem mieście w Antwerpii: pierwsze bowiem pośmiertne egzekwie odbyły się w Bruxelli.

Conscience, którego życie spokojne i ciche — życie prawdziwego literata — upłynęło w zaciszu, był jednym i prawie jedynym pisarzem flamandzkim dzisiaj, którym się mogą poszczycić Belgowie. Urodzony w Antwerpii, w r. 1812, z rodziców Francuzów, Henryk Conscience tak się zrosł

i spoił ze swą ojczyzną flamandzką, że się stał nakoniec widomem i jakby najlepszym i najwznioślejszym jej uosobieniem. Zostawił po sobie blisko sto tomów rozmaitych powieści; jak Turgenjew, jest on niezrównany co do języka, i co do doskonałości swej literackiej formy. Moralny i przykładowy w poglądach, zaleca się spokojem i łagodnością wzruszenia. W pismach cały się jego maluje charakter. Postrzegacz pilny, zaznacza na każdy portret, każdy obrazek, wzięty z natury, postrzeżeniem wiecznym i niezmiernie subtelnym.

Na nieszczęście, są to przymioty pisarskie niedostępne dla tuzinkowych tłómaczów. Cały ten delikatny meszek flamandzki jest starty stracony we francuzkich tłómaczeniach jego powieści. Najlepsze wyobrażenie jego talentu daje przerobiony niegdyś przez Alexandra Dumas'a ojca *Konskrypcjonista*. Z większych jego powieści należy wymienić następujące: *Lew Flamandzki*; *Trybun z Gandawy*; *Szatan gry*; *Szatan zysku* i t. d...

Henryk Conscience, wybrany przez króla Leopolda, był nauczycielem Języka Flamandzkiego, synów jego: dzisiejszego Króla Belgijskiego, i jego brata. Pochowany został w Antwerpii przy wielkim zbiegowisku ludu; wszystkie stowarzyszenia, tak zwane: *des Flamigeants*, wysłały swoich delegowanych, z wieńcami kwiatów i sztandarami w żałobie. Rada miejska Antwerpii w całym komplecie, z burmistrzami pierwszych miast na czele—król, i co tylko ma jakie znaczenie w Belgii—wszystko miało tu swych przedstawicieli.

Ze składki narodowej patriotycznej wzniesiony zostanie pomnik zmarłemu pisarzowi, na cmentarzu tak zwanym: *de Kiel* w Antwerpii. Cześć tak serdeczna i wielka, oddana pisarzowi narodowemu wskazuje nam, własne nasze obowiązki i drogę, po której iść mamy — jeśli chcemy być narodem, wśród tej rodziny chrześcijańskich, w duchu i w prawdzie, narodów.

Nie opuszczajmy cmentarza, nie poświęcajmy słów kilku pamięci jeszcze jednego pisarza, zmarłego jednocześnie z dwoma, o których mówiliśmy wyżej: wszak to jest historia literatury współczesnej a zatem rzecz obowiązku kronikarza. Ten trzeci z kolei, rówieśnik tamtych — jest to Paweł Siraudin, autor dramatyczny. W swoim rodzaju była to osobistość i talent, czysto paryzkie!..

Urodzony (w r. 1812) i wyrosły na tym ślizkim bruku Lutecyi, miał on jak wszystkie jej dzieci, owe wady i owe zalety, któremi się oni tak wybitnie odróżniają, nawet od reszty Francuzów. Otwarta i żywa inteligencja; spryt wielki, łatwość w sławie, bystrość pióra, zwinność w interesach — ale zato: lekkosć, zarozumiałość, nieuctwo niesłychane, z którego każdy się z nich wykręca kłamstwem i bezczelnością bezprzykładną. Osobisty interes, to ich bóstwo i busola — to ów drag równowagi, *balancier*; z nim w rękę przebiegają prawie bezwiednie ową wyteżoną linię życia paryzkiego — aż do złamania karku, lub do ostatniej wygranej.

Siraudin od lat najmłodszych zaczął pisać dla sceny — ale, z niezmiernie małym wyjątkiem, zawsze we wspólnie z kim innym, już pewną mającym wziętość. Uprzywilejowane jego teatru były to: *Rozmaitości* i *Palais-Royal* — co dostatecznie tłómaczy rodzaj i kierunek talentu.

Nieboszczyk przedewszystkiem był to sprytny i zabawny brukowiec (*Boulevardier*), dowcipny gawęda, poczciwy koleżka, a ztąd przyjaciel i towarzyszy, wszystkich tych braci szubrawców, którzy stanowią pierwszą falangę w zastępie paryzkiej inteligencji. Dziennikarze, poczynający literaci, zakulisowi meklerzy z giełdy, aplikanci wielkich notaryuszów i bankierów i t. d. — wśród nich-to zwykle rosła wybitne typy, przeznaczone do odegrania pewnej roli na bruku. Są tam prawdziwe brylanty i perły — ale, jak zwykle i wszędzie, rzadkie i drogie!.. reszta kulfony i szych ludzacy...

Siraudin, jak wielu innych, nie mogąc złapać fortuny za prawdziwy kosmyk na literackim polu, próbował ją schwycić na drodze handelku. Nieprzestając więc być dramatycznym pisarzem, został cukiernikiem, przy ulicy de la Paix. Zdaje się że cukry i paszteciki, lepiej się powiodły, niżeli komedye, bo magazyn nabył wkrótce wielkiej sławy i wziętości w Paryżu — a, jak tu zwykle bywa, znalazł prędko nabywcę: cukiernika z profesyi, który za znaczną dość summę, kupił zarazem: zakład i firmę zakładu.

Tutaj wszystko to jest możliwe i wszystko ucho dzi — byle powodzenie. Coby się nas zdawało więcej niż dziwacznem, tutaj staje się rzeczą wcale naturalną. Pisarz-cukiernik! czemu nie? Wszak jest poeta-perukarz — bardzo sławny: *Jasmin*... Siraudin, wielką ilość sztuk dramatycznych napisał — ale nie rzeczywiście wyższego. Lecz, jeżeli jako autor, nie dostawia on po sobie głęboko zao-ranej skiby, zato, jako dowcipną gawędą, nie łatwo zastąpić go przyjdzie. Dotąd powtarzają, i długo jeszcze powtarzać będą: anekdotki, dowcipne odpowiedzi, złośliwe przycinki, i te opowiadania brukowych wiadomości, w których cały jego dramatyczny talent błyszczał i używał się na nic...

Od umarłych przejdźmy do żywych. D. 16-go Września, otwartą została wystawa Sztuk Pięknych, tak zwana *narodowa*, (*nationale*); chociaż pomimo ten oficjalny tytuł, wszyscy ją tu znają, pod utartem już nazwiskiem: Wystawy *Wystawy cotryletniej* (*Triennale*).

Welu bardzo artystów, którzy z powodu mieszanimy i nawału, jakie panują po wystawach dorocznych; nie pokazali się już od lat kilku w salonach pałacu Pól Elizejskich, wyszli ze swego ukrycia i dobrowolnej klauzury.

Dla waszego kronikarza szczupłe przecież przedstawia to zniwo... Mówiłem już o wystawie dorocznej z miesiąca Maja, nie śmiem tak często wracać do podobnego przedmiotu. Zresztą, naszych tu polskich artystów ani spotkać, a o francuzkich mówiłem już dawniej, szczegółowo i obszernie, prowadząc czytelników moich na przeszłe wystawy. Widzieć tożsamo, mniej nudzi, wiem to z doświadczenia, niżeli czytać, jedno i toż samo!.. Zostaje więc mi wyprowadzić tu jedynie w kilku słowach treściwych ogólne wrażenie.

Wrażenie to jest dobre — uspakaja i pociesza umysł, po tej rozpuszcie dorocznej palety... usunięcie wszelkiej excentryczności; wykluczenie zupełne impresjonistów i naturalistów wszelkiego rodzaju; wywiera skutek zbawienny — nic tu nie razi oczu, a więc nie psuje efektu, i człowiek czuje, że jest wobec poważnej i rozumnej pracy — a nie w domu waryatów, albo swawolnych bazgraczy, których zadaniem zdaje się być poniżenie i spopolitowanie wszystkiego, cokolwiek jest piękne, wzniosłe i prawdziwie godne w sztuce.

Przyznaję więc bez wahania się, że jest wiele rzeczy pięknych, i znakomych nawet; ale zmuszony jestem wybierać najlepsze z najlepszych i ograniczyć się, ile możności, do tego tylko, o czem przemilczeć byłoby grzechem.

Meissonier, wywdzięczając się za wszystkie zaszczyty, jakie mu oddano, przysłał na tę wystawę obrazy, które od lat sześciu niepokojone czekały w jego pracowni: była to więc i grzeczność i prawdziwy wysiłek; bo ten znakomity artysta, pracuje zwykle powoli i tylko w godzinach zupełnego usposobienia do pracy. Sześć obrazów naraz — takiego mistrza — to nie są żarty — a nareszcie przybył i siódmy.

Ale, jak zawsze, obrazy większych rozmiarów tego malarza, nie dochodzą doskonałości maleńkich, w których jego geniusz i niezrównane zalety talentu, w całym swym blasku i w całej swojej objawiają się potędze. Przenoszę ja daleko, daleko — a widzę, że ogół jest ze mną — jego: *Odwiedziny w Zamku*, *Wnętrze kościoła św. Marka* nawet;

a przedewszystkiem maleńki *Portret p. Lefranc'a*, nad *Dragonów* jego, i nad te *Ruiny Tuileryjskiego Pałacu*.

Ten przewodnik, który prowadzi wśród lasu oddział dragonów, występujących od frontu, ze skróceniami i skórczeniami niesłychanej biegłości — nie czyni wcale tego wrażenia na widzu, o jakim marzył wielki artysta — a ten kawałek sterzący ruin pałacu, przypomina szkice z podróżnych albumów — w których, podług słów Rubensa: „zawiele jest archeologii, a zamało malarstwa“. Ale — jednym, swoim maleńkim jak dłoń, portretem Lefranc'a Meissonier okupił tu wszystkie swoje i wszystkich malarzów grzechy.

Obok Meissonier'a można śmiało postawić drugo zbiega z wystawy: *Ludwika Leloir*. Jest to jeden z najznakomitszych dziś akwarellistów we Francyi — a jako malarz olejny, — prawdziwy czarownik pędzla. Jego „Kuglarze“ i „Zareczyny“, które wracają nam, po trzech, czy czterech latach niewidzenia — są wprost zachwycające.

Ale nad wszystkim prym trzyma — i tam zostawił na *Valete!* i mojej kroniki i wystawy. To nasz znakomity pobratymiec *Brożyk*. Piękne, znakomite, wspaniałe — a nowe zupełnie jego dzieło: obraz przedstawiający scenę wyroku potępienia Jana Husa — przoduje wszystkiemu na tej wystawie. Jakkolwiek niezmierną może się wydać taka pochwała — przecież jest to: *vox populi!*

Na płótnie ogromnych rozmiarów, szerokiemi 7 metrów a wysokiem 4 metry i pół, Brożyk przedstawił nam sławne potępienie Husa, na Soborze w Konstancyi, w obecności cesarza Zygmunta. Po lewej stronie widza, gwałtowny ruch i postawa biskupa czytającego go w otoczeniu wysokich dygnitarzy Kościoła, wyrok kościelny — dobrze wskazuje, że to jest wyrok potępienia i śmierci. Stojący naprzeciw, po prawej stronie widza, w czarnej sutanie, Jan Hus, z zimnym i zaciętym spokojem illuminata, słucha tego potępienia; wokół niego czescy zwolennicy w rozmaitych grupują się postaciach. Cesarz, pośepny i srogi, siedzi, w głębi na tronie, w otoczeniu świetnym panów i dworzan. Artystycznie i umiejętnie wypełniony jest ten ogromnych rozmiarów obraz; wszystko w nim wolno oddycha, choć scena odgrywa się pod ciężkimi arkadami kaplicy, czy sali...

Malowany świetnie, rysowany umiejętnie, wykonany z wielką wstrzeźliwością akcesoryów jest obraz Brożyka jak powiedziałem jeden z najpiękniejszych i najważniejszych utworów tej wystawy i jednym z najlepszych dzieł mistrza — który dla nas, Polaków, ma tem większy pociąg, że z rasy i z talentu przypomina nam naszego rodzimego Matejkę!..

Sprostowanie.

W *Kronice działalności kobiecej*, Nr 43 *Bluszczu* w doniesieniu o mającej się wkrótce utworzyć Szkole ogrodniczej dla kobiet, zaszła niedokładność. Każdy z dwóch kursów obejmować będzie nie lat dwa, *ale rok jeden*, i każdy stanowić będzie pewien całokształt wiedzy ogrodniczej.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkuusz 6-ty powieści pod tyt.: *Książęce gniazdo*.

TREŚĆ. Zbolałej (poetya). — Pogawędka. — Wrażenia pedagoga w Galicyi, (dokończenie). — Polka i Amerykanka, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Marya Stäffe, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — List z zagranicy, J. I. Kraszewskiego, (dokończenie). — Nowiny paryzkie, (dokończenie).

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Октября 1883 года.